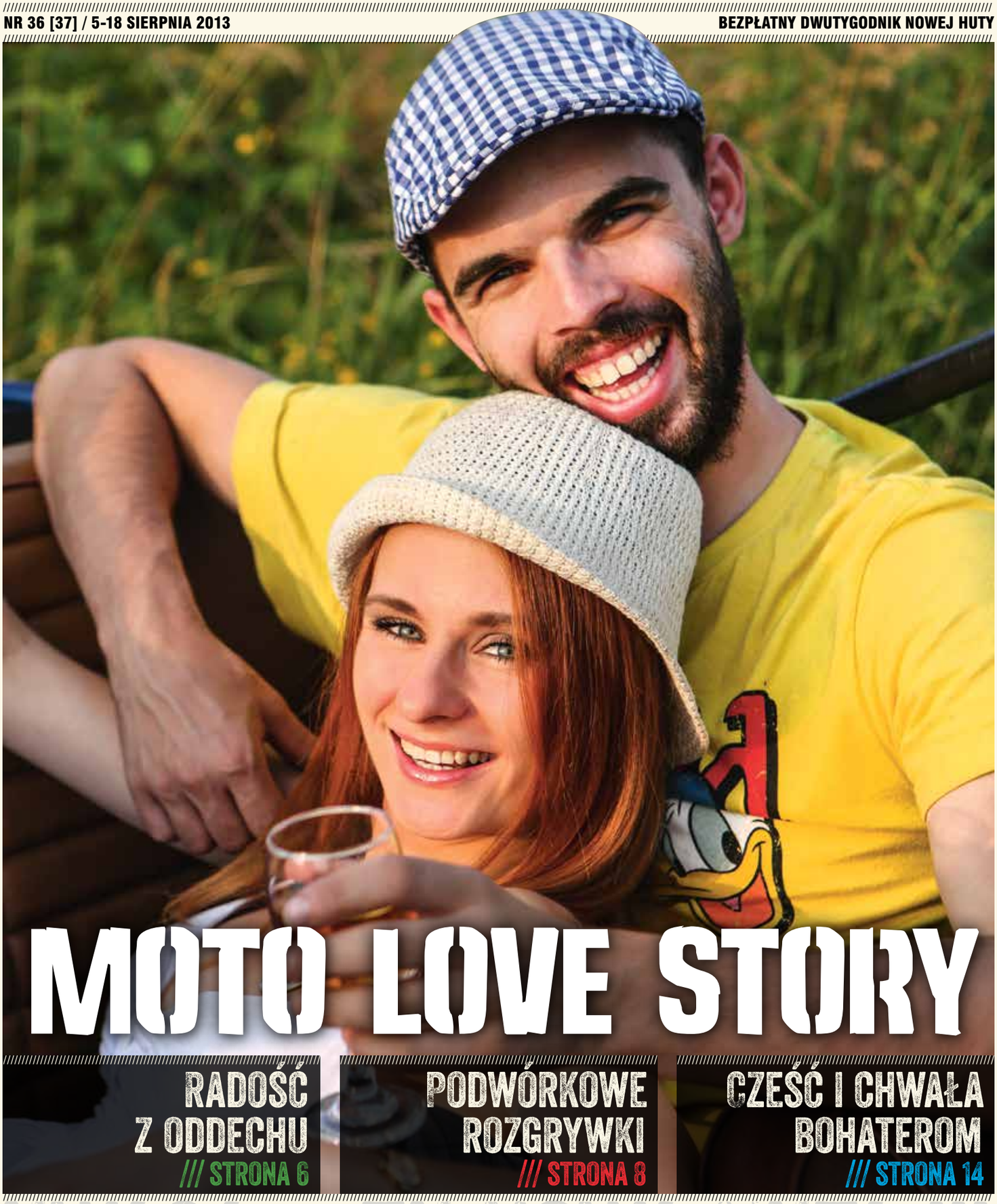
LODOŁAMACZ

NR 36 [37] / 5-18 SIERPNIA 2013

BEZPŁATNY DWUTYGODNIK NOWEJ HUTY



MOTO LOVE STORY

RADOŚĆ Z ODDECHU /// STRONA 6

PODWÓRKOWE ROZGRYWKI /// STRONA 8

CZEŚĆ I CHWAŁA BOHATEROM /// STRONA 14

Zdjęcie: Marcin Kądziołka

UWAGA – TU NOWA HUTA !!!



TEN SAM OBRAZEK,

CIĘŻKO BYŁO ZNALEŹĆ ROZMÓWCĘ, KTÓRY ZECHCIAŁBY OPOWIEDZIEĆ O NIE DO KOŃCA LEGALNEJ STRONIE PRL-U: ZDOBYWANIU DÓBR NIE ZA SPRAWĄ KILKUGODZINNYCH KOLEJEK DO „SAM-U”, TYLKO BARDZIEJ NIEKONWENCJONALNYCH METODACH POZYSKIWANIA TOWARÓW DOSTĘPNYCH ZA SZKLANĄ WITRYNĄ, DAJĄCEJ POZORY LEPSZEGO, ZACHODNIEGO ŚWIATA. ALE NAM SIĘ UDAŁO! O PEWEXACH, DOLARACH I ZAWROTNYCH CENACH JEANSÓW ROZMAWIAMY Z MARKIEM „ŚWIERSZCZEM” PIOTROWSKIM, ZNAJĄCYM ÓWCZESNĄ KONSUMPCYJNĄ RZECZYWISTOŚĆ NIE TYLKO Z PERSPEKTYWY KARTEK NA MIĘSO.

TYLKO W INNYCH RAMKACH

PEWEX, CZYLI...?
Przedsiębiorstwo Eksportu Wewnętrznego. Na terenie Huty stały dwa – jeden na osiedlu Teatralnym, niewielki, a potem otwarto drugi, na osiedlu Strusia.

WYNIKA Z TEGO, ŻE W NOWEJ HUCIE BYŁY DWA MIEJSCA, KTÓRE DAWAŁY WYTRAWNYM I WYTRWAŁYM POSZUKIWACZOM TO, CZEGO NIGDZIE INDZIEJ ZNALEŹĆ NIE MOGLI. MOWA TU OCZYWIŚCIE O TZW. TOWARACH LUKSUSOWYCH.
Dokładnie. Pewex był synonimem towarów luksusowych, niedostępnych na półkach zwykłych sklepów. W PR-L-u sklepowe półki bywały na ogół puste, co w Pewexie się raczej nie zdarzało. Zakupić można było towary produkcji zarówno krajowej, jak i zagranicznej, co stanowiło zdecydowanie większą gratkę dla kupujących. Jeansy, papierosy Marlboro, puszki prawdziwej Coli…

JEDNAK ZAKUP TYCH TOWARÓW NIE BYŁ WCALE TAKI PROSTY. W SAMEJ IDEI MARKI PEWEX NIE ISTNIAŁO POJĘCIE „WYMIENIALNOŚCI” POLSKIEGO ZŁOTEGO, NIE MÓWIĄC JUŻ O JAKIEJKOLWIEK ZASADZIE WOLNEGO RYNKU.
Ceny produktów dostępnych w Pewexach były ustalane w oparciu o amerykańskiego dolara, a kupować można było za dolary, inne wymienne waluty oraz bony towarowe PeKaO.

I TUTAJ DOCHODZIMY DO BARDZO INTRYGUJĄCEGO PUNKTU – SKĄD W PAŃSTWIE, KTÓRE JUŻ OD LAT 60. NIE TYLE ZABRANIAŁO POSIADANIA DOLARÓW, CO NIE POZWALAŁO NA ICH ZAKUP LUB SPRZEDAŻ, WZIĄĆ TE POTRZEBNE „ZIELONE”?
No jak to? Dolary kupowało się od „koników” albo cinkciarzy, jak kto woli. Można ich było spotkać właśnie pod Pewexami, ale też pod bankami, hotelami i na lotniskach – wszędzie tam, gdzie potrzeba było wymienić walutę.





PRL

PEWEX

CHYBA NIE CAŁKIEM LEGALNIE?
Oczywiście, że nie całkiem legalnie. Obracanie i handel zagraniczną walutą należały do zajęć nielegalnych, ale pod wieloma względami władza przymykała na to oko. Można nawet powiedzieć, że było jej to na rękę, bo sami niejednokrotnie mieli z tego typu działań korzyści, o których może nie powinno się na głos mówić.

JAK WYGLĄDAŁA W TAKIM RAZIE „WYMIANA” WALUTY POMIĘDZY SAMYM ZAINTERESOWANYM A CINKCIARZEM?
Powiedzmy tak – zwykły, szary obywatel kupował dolary przede wszystkim po to, żeby móc zrobić zakupy w Pewexie. Miało się trochę złotówek i chciało się kupić np. jeansy. Z kolei konik kupował dolara, przypuśćmy, po 103 zł, a sprzedawał zainteresowanemu po 115 zł. Szczęśliwiec miał dolary, a tym samym jeansy, a zadowolony cinkciarz zarobek w kieszeni.

ILE TRZEBA BYŁO ZAPŁACIĆ ZA JEANSY W PEWEXIE?
Około 20 dolarów. Dokładnie tyle, ile w przeliczeniu wynosiła całkiem przyzwoita pensja inżyniera na najniższym stanowisku. Dzisiaj wydaje się to absurdalne i niewiarygodne. Wartość pieniądza była zupełnie inna. Za 500 dolarów miało się materiał na piękny dom, z oknami, dachówkami i całym wykończeniem.

MOŻNA POWIEDZIEĆ, ŻE CINKCIARZE STANOWILI JAKĄŚ OSOBNĄ GRUPĘ SPOŁECZNĄ? WIDAĆ PO NICH BYŁO, JAKIM ZAJĘCIEM SIĘ PARAJĄ?
W jakimś sensie na pewno. Jak to się mówi – byli to ludzie w perfumach, strojach, z klasą, wyróżniający się wśród wszechobecnej szarzyzny swoją aparycją. Mieli gest, potrafili zostawiać duże napiwki w restauracjach, także w zagranicznej walucie. Ale zdarzali się i tacy, którym się nie powiodło. To się toczyło mniej więcej tak jak teraz – jednemu się udaje, a drugi ledwo jest w stanie coś na siebie zarobić.

BYWALI TEŻ SPRYCIARZE, KTÓRZY „PEWEXOWE” TOWARY SPRZEDAWALI POZA NIM.
Na tym też się zarabiało. Kupowało się towary w Pewexie i szło je sprzedawać na bazar, gdzie trzeba było za nie zapłacić trzy razy więcej niż w sklepie. Kupującymi byli zazwyczaj ludzie z mniejszych miejscowości, przyzwyczajeni do zakupów bazarowych, a nie zdających sobie sprawy z tego, że w Pewexie można było kurtkę czy perfumy zakupić w gruncie rzeczy po niższej cenie.

TO BYŁO TROCHĘ NIEELEGANCKIE, TAK ŚWIADOMIE WYKORZYSTYWAĆ NIEWIEDZĘ LUDZI ZAGUBIONYCH W CHORYM SYSTEMIE.
Nieraz się słyszało, że to „cwaniaczki”, „kozaczki” czy inne, niejednokrotnie gorsze epitety. Czy tak w istocie było? Każdy sobie po prostu radził, jak mógł. Ja sam walczyłem o pieniądze na różne sposoby i nie wiem, czy tamte czasy nie były przypadkiem pod tym względem lepsze. Ludzie mogli o nie walczyć, bo były im dawane za pracę, a nie nakazowo, po jakichś znajomościach.

ALE CZY CINKCIARZE MOGLI PROWADZIĆ NIELEGALNY HANDEL WALUTĄ W KOMUNISTYCZNYM REŻIMIE BEZ JAKICHKOLWIEK ZNAJOMOŚCI I UKŁADÓW? SAM PAN WSPOMNIAŁ, ŻE WŁADZY TAKIE ZACHOWANIA BYŁY W PEWNYM SENSIE NA RĘKĘ.
Racja, ale nie o takie znajomości mi chodziło. Dzisiaj jest jednak troszeczkę inaczej, jest inny system – pozornie łatwiejszy, bo dający wolność. Proszę pamiętać, o jakich czasach my rozmawiamy. Żeby handlować obrazami na ulicy Floriańskiej, trzeba było nierzadko podpisać lojalkę o współpracy z SB. Czasy zmuszały ludzi, także biegających za pieniądzem, do różnych zachowań obronnych. Ciężko się nie domyślić, że sprzedający walutę lub złoto pod Pewexami czy giełdami samochodowymi nie mieli jakichkolwiek układów ze służbami. Ale czy dzisiaj jest inaczej? Wszędzie są takie „Pewexy” i tkwimy w układach. To w gruncie rzeczy ten sam obrazek, tylko w innych ramkach.

PO TRANSFORMACJI USTROJOWEJ W 1989 ROKU NIEKTÓRZY ZMIENILI „BRANŻĘ”, A NIEKTÓRZY KONTYNUOWALI HANDEL WALUTĄ, ALE NA INNYCH ZASADACH I JUŻ LEGALNIE.
Znaczna część tych dobrze prosperujących, obrotnych koników stała się właścicielami kantorów walutowych, gdzie można w pełni legalnie obracać dzisiaj walutami. Niektórzy porzucili zajęcie – będąc w posiadaniu gotówki, mogli otworzyć własny biznes, niekoniecznie związany z branżą finansową. Życie, jak każdemu, pisze różne scenariusze.

„CINKCIARZ” TO OKREŚLENIE POCHODZĄCEGO Z JĘZYKA ANGIELSKIEGO (OD „CHANGE MONEY”, CZYLI „WYMIENIAĆ PIENIĄDZE”), ZNIEKSZTAŁCONE NA TAKIE, KTÓRE ZNAMY. ALE CO WSPÓLNEGO Z HANDLEM WALUTĄ MOŻE MIEĆ... KONIK?
To od skakania, „doskakiwania” do potencjalnego klienta! Wystarczyło, że się podeszło pod Pewex, a tam już „doskakiwali” i pytali: „Dolary? Potrzeba dolarów?”. Zamierzali się tak, jak konie mające skoczyć przez przeszkodę (śmiech).

Tekst: Anna Piwowarczyk
Zdjęcia: Marcin Kądziołka

ŻYCIE W TERRARIUM

Niedaleko Ronda Czyżyńskiego mieści się nieduży, nowo otwarty sklep „ReReKumKum”. Co tu znajdziecie? Węże, pająki i jaszczurki – czyli zwierzęta terrarystyczne.

Tomasz Krawczyk, z wykształcenia fotograf i grafik, ma swoją „małą” pasję, która jednych przeraża, a drugich ciekawi. Od kilku lat interesuje się zwierzętami terrarystycznymi. Po pracy w jednym z takich sklepów postanowił otworzyć własny. Chociaż „ReReKumKum” jest niewielki, można w nim znaleźć prawdziwe egzotyczne perełki: gekona lamparciego, agamę brodatą czy drzewołaza lazurowego. Wszystkie zwierzęta sprowadzane są z Niemiec. Większość musi zostać zarejestrowana w Urzędzie Miasta i posiadać specjalny dokument świadczący o tym, że nie pochodzą one z nielegalnej hodowli.

Wchodząc do „ReReKumKum” odczuwam lekki niepokój. Zamknięte w terrariach gady i płazy zdecydowanie nie są moimi ulubieńcami. Jednak już po kilku minutach rozmowy zostaję przekonana, że wszystkie zwierzęta, jakie znajdują się w sklepie, to niezwykłe i jedyne w swoim rodzaju okazy. Właściciel zgrabnie połączył swoje prawdziwe zamiłowanie z pracą. Jak sam twierdzi, „ludzie boją się tego, co nieznane”. Ja sama przekonałam się, że zwierzęta terrarystyczne są niezwykłe. Kto chce się o tym przekonać na własne oczy, powinien odwiedzić sklep „ReReKumKum” na os. 2 Pułku Lotniczego 26/171.

(AK)



Zdjęcie: Tomasz Krawczyk



Zdjęcie: Anna Szalaj

TOWARZYSKO, WESOŁO I UPALNIE

W upalną sobotę 27 lipca toczyła się IV edycja imprezy „Welcome to Nowa Huta”. Lepiej aurę zniosła drużyna z Budapesztu, która pokonała Hutnika 2:1.

Widzowie na stadionie Hutnika nie tylko zobaczyli mecz piłkarski pomiędzy Hutnikiem, a Ferencvarosem. Były też konkursy, zabawy dla dzieci i przysmaki węgierskiej kuchni. W wydarzeniu wzięła udział również Speedway Wanda Kraków: kibice mogli skorzystać z przejażdżki motorem żużlowym. Do Nowej Huty przyjechali kibice z Węgier, którzy wywiesili transparent „Polak Węgier dwa bratanki”. Byli też zaprzyjaźnieni z nimi fani Bałtyku Gdynia. Piłkarzy na boisko wyprowadzili najmłodsi kibice Hutnika i dzieci ze stowarzyszenia „Budujemy nadzieję”.

— Dziękujemy w imieniu Ferencvarosu za zaproszenie na imprezę – mówił na pomeczowej konferencji trener węgierskiej drużyny Peter Lipcsei. Pojedynek młodych piłkarzy Ferencvarosu z „hutnikami” był bardzo wyrównany. W pierwszej połowie przewagę mieli nowohucianie, w drugiej goście, którzy ostatecznie przeważyli szalę zwycięstwa na swoją stronę. Z meczu cieszył się także Andrzej Paszkiewicz.

— Był to bardzo wartościowy sparing – podsumował trener Hutnika. — Rzadko mamy okazję grać z zespołem stosującym aż tak agresywny pressing – dodał szkoleniowiec. Dla Hutnika to już końcowa faza przygotowań do nowego sezonu. Pierwszy mecz ligowy Hutnik zagra 11 sierpnia w Pińczowie. Inauguracja sezonu na Suchych Stawach odbędzie się w sobotę 17 sierpnia. Piłkarska Reprezentacja Nowej Huty zagra o 17:30 z Popradem Muszyna.

(TP)

SOLANKOWE KĄPIELE ZDROWOTNE

W poprzednim numerze zachęcaliśmy do odwiedzania basenu na ulicy Bulwarowej. Tym, którzy od czasu do czasu wybierają turystykę rekreacyjną, przedstawiamy Baseny Mineralne w Solcu-Zdroju. Siedziba spółki prowadzącej ośrodek znajduje się na osiedlu Teatralnym. Jednak aby zaznać zdrowotnej kąpieli, trzeba ruszyć ok. 80 km w stronę Sandomierza.

Nowoczesny kompleks leczniczy znajduje się przy samym wjeździe do miejscowości, na ulicy Partyzantów 18. W skład obiektu wchodzą m.in. basen rekreacyjny (z atrakcjami takimi jak zjeżdżalnie, jacuzzi, leżanki masujące, gejzery), basen solankowo-siarczkowy z wodą o temperaturze 35-36 stopi oraz sauny. W okresie letnim w użytku jest także czynny basen zewnętrzny z plażą i leżakami. Centrum Zdrowia oferuje szereg zabiegów z dziedziny balneologii, hydroterapii, fizykoterapii, kinezyterapii, a także masaże, inhalacje, kąpiele ziołowe i inne. Na basenie odbywają się zajęcia aerobiku. Zabiegi odbywają się przez cały tydzień, łącznie z weekendami.

Cechą charakterystyczną uzdrowiska w Solcu-Zdroju jest najsilniejsza na świecie lecznicza woda siarczkowa ze źródła „Malina”. Wykorzystywana jest w leczeniu m.in. schorzeń stawów, kręgosłupa, narządów ruchu i cukrzycy.

Więcej informacji o ofercie ośrodka i cennik znajduje się na stronie www.basenymineralne.pl.

(TP)



Zdjęcie: Kinga Jagłarz

LEGENDARNE WARSZTATY

Do 20 sierpnia trwa akcja stowarzyszenia Zajawka „Łączymy Pokolenia – Czytamy Legendy”. Polega na warsztatach artystycznych, muzycznych i emisji głosu dla osób powyżej sześćdziesiątego roku życia. Efektem przedsięwzięcia ma być płyta z nagranymi legendami krakowskimi.

Warsztaty odbywają się w Ośrodku Kultury im. C. K. Norwida na osiedlu Górali 5. Artystyczna część odbędzie się jeszcze 6, 13 i 20 sierpnia, za każdym razem o godzinie 16.30. Z kolei na część poświęconą emisji głosu organizatorzy zapraszają 5, 7 i 12 sierpnia na godzinę 17.30. Wszelkich informacji na temat inicjatywy udziela Rafał Maciaszek pod numerem telefonu 514 372 658. Udział w akcji jest bezpłatny. W wyniku projektu powstanie audiobook z nagranymi przez międzypokoleniową grupę legendami, a także finałowe spotkanie w ARTzonie, wystawa fotografii i koncert.

(TP)



Zdjęcie: Anna Lepszy-Wierzchowska



Zdjęcie: Archiwum organizatorów

WEEKEND Z MOTOREM

W dniach 10 i 11 sierpnia na Placu Stella-Sawickiego (wjazd od ulicy Medweckiego) odbędą się Motokręcioła i Puchar Katanki. W programie imprezy, której patronuje Lodołamacz, są motorowe pokazy, zawody i ćwiczenia dla wszystkich miłośników jednośladów.

Motokręcioła rusza w sobotę o godzinie 11, a zakończy się o 18. W jej ramach przeprowadzone będą treningi i wolne jazdy. W niedzielę natomiast odbędzie się Puchar Katanki. Zawody przeprowadzone zostaną w godzinach 11-17. Swoich sił może spróbować każdy, kto posiada motocykl, motorower lub skuter. Na adres katanca@op.pl należy do 10 sierpnia wysłać zgłoszenie: imię i nazwisko, ksywka, wiek, rodzaj motocyklu (pojemność), a następnie zapłacić wpisowe w wysokości 50 zł. Zapisać się można także w dniu imprezy (o ile będą jeszcze miejsca), ale wówczas wpisowe będzie wyższe. Motorowcy zmierzą się w dwóch kategoriach, w zależności od pojemności silnika: Open i Mini. Uczestnicy zawodów w ramach opłaty otrzymają okolicznościową koszulkę oraz bon na jedzenie (o które zadba Grupa Kościuszko).

Motorem napędowym imprezy jest nasza bohaterka z tego numeru – Monika Jaworska i jej szkoła jazdy. W organizację włącza się także krakowskie Stowarzyszenie Motocyklistów „Grupa Południe”.

(TP)



MOBILE SCHOOL – SZKOŁA, JAKIEJ NIE ZNACIE

Wszyscy przechodnie z zaciekawieniem przyglądają się grupce ludzi ciągnącej wielki pudło na kółkach. Oni jednak nie zwracają na to uwagi tylko idą wytrwale do wyznaczonego celu. Gdy docierają na miejsce, czekają na nich dzieci gotowe pobawić się w różnego typu gry edukacyjne. Właśnie tak zaczyna się ich zabawa z „Mobile School”.

„Mobile School”, czy też „Szkoła Mobilna” lub „Ruchoma Szkoła” powstała w 1996 roku, jej twórcą był Arnoud Raskin. Sześć lat później przerodziła się w organizację, której celem jest pomoc „dzieciom ulicy”. Od 2006 roku projekt możemy oglądać w Polsce. Początkowo funkcjonował wyłącznie w warszawskiej Pradze, szybko jednak zadomowił się również na osiedlach nowohuckich. Mobilna Szkoła ma na celu dotarcie do dzieci, które całymi dniami szwendają się po ulicach, pobliskie osiedla traktując lepiej niż swój dom.

Wolontariusze (streetworkerzy), którzy działają w Mobilnej Szkole za wszelką cenę chcą pokazać dzieciom, że mogą być szanowane i akceptowane przez otoczenie. Poprzez różnego rodzaju gry edukacyjne uczą ich pewności siebie oraz pokazują, że współpraca i zaufanie też są ważnym elementem w życiu. Streetworkerzy to osoby, które kilka bądź też kilkadziesiąt lat pomagają najmłodszym, wciąż z tą samą pasją i zamiłowaniem.

W tym roku krakowska Mobilna Szkoła obchodzi swoje pięciolecie. Z tej okazji dla wolontariuszy z całego świata odbyło się specjalne szkolenie. Wszyscy wytrwale przez dziesięć dni od rana do wieczora słuchali wykładów, wielkim powodzeniem cieszyły się też wieczorne spotkania. Za pomocą tańców czy też śpiewów zebrani opowiadali o swojej kulturze.

W tym roku Mobilna Szkoła spotyka się z dziećmi tylko cztery razy w tygodniu. Od poniedziałku do czwartku wolontariusze docierają do nowohuckich osiedli, aby spędzić czas z dzieciakami. – Dzieciom dajemy swój czas – mówi jedna z działających przy szkole wolontariuszek, Anna Lepszy-Wierzchowska. – Do „takiej” szkoły dzieciaki podchodzą z wielkim entuzjazmem i co najważniejsze, chcą do niej wracać.

Każdego dnia szkoła dociera do innych osiedli Nowej Huty. W poniedziałek można ją spotkać na Alei Róż, zajęcia prowadzone są dla wszystkich dzieci; we wtorek tajemnicze pudło wędruje na os. Złotej Jesieni (zajęcia dla dzieci od pięciu lat). We środę jest na os. Stalowym, a w czwartki na os. Teatralnym.

(AK)

WETERANI ŁOWIĄ RYBY!

W wakacje ryby nie śpią, a nowohuccy wędkarze tym bardziej! Z myślą o weteranach sportowego połowu ryb Zarząd Koła Polskiego Związku Wędkarskiego Nowa Huta zaprasza na zawody dla sześćdziesięciolatków. Połowy odbędą się 11 sierpnia na nowohuckim zalewie. Zgłoszenia przyjmowane są w siedzibie koła przy ulicy Bulwarowej do 8 sierpnia, do godziny 19. Zbiórka w dniu zawodów o godzinie 7 pod wejściem do Dom Wędkarza obok zalewu.

(TP)



RADOŚĆ Z ODDECHU

„ODDECH JEST ESENCJĄ JOGI, PONIEWAŻ JEST ESENCJĄ ŻYCIA” – MAWIAŁ JEDEN Z AUTORYTETÓW JOGI. STUDENTKA MEDYCYNY I INSTRUKTORKA W NURCIE VINYASA KRAMA MAGDA GĄSIOR OPOWIADA O ZALETACH PRAKTYKOWANIA JOGI I WAKACYJNYCH ZAJĘCIACH W OGRODZIE.

JOGA BYŁA DLA CIEBIE ALTERNATYWĄ DLA FITNESSU CZY FORMĄ GŁĘBSZEGO PRZEŻYCIA?

Przyznam szczerze – na pierwsze zajęcia poszłam z myślą, że będzie to jakiś rodzaj fitnessu. Byłam wtedy w liceum, to było w 2008 roku, a joga zaczynała dopiero stawać się popularna. Reklamowano ją jako lek na wszystko, od cellulitu po stres w pracy. Moja mama zawsze powtarza, że jak coś jest do wszystkiego, to jest do niczego, w końcu jednak zdecydowałam się spróbować. Spośród wielu miejsc w Krakowie wybrałam, dość przypadkowo, Pracownię Maćka Wieloboda. Poszłam tam na jedne, próbne zajęcia – i zostałam. Tam zaczęłam stopniowo poznawać tajniki jogi, a po pewnych czasie także uczyć.

PROWADZISZ TERAZ ZAJĘCIA Z JOGI NA ŚWIEŻYM POWIETRZU...

Zgadza się, to projekt „Joga w Ogrodzie” organizowany przez Klub Kombinator. Zajęcia odbywają się we wszystkie niedziele lipca i sierpnia. Może na nie przyjść każdy, niezależnie od stopnia zaawansowania, nawet jeśli to jego pierwsza styczność z jogą. Za nami już trzy spotkania. Zanim inicjatywa ruszyła, spodziewaliśmy się, że liczba osób początkujących i praktykujących będzie proporcjonalna. Szybko okazało się, że byliśmy w błędzie. Na pierwszych zajęciach było prawie 40 osób, a wśród nich zaledwie kilka regularnie praktykujących. Musiałam delikatnie zmodyfikować swój program w trakcie zajęć i dostosować poziom do uczestników, ale poradzili sobie naprawdę świetnie. Zobaczymy, jaka będzie frekwencja na kolejnych zajęciach – jeśli dopisze, to kto wie, może będziemy kontynuować zajęcia również po wakacjach. Wszystkich gorąco zachęcam do udziału i zapoznania się z ideą projektu na fanpage'u „Joga w Ogrodzie” i na www.jogawhucie.pl.



KTO PRAKTYKUJE NAJCZĘŚCIEJ?

Na zajęciach z jogi zdecydowana większość to młode kobiety. Mężczyźni to zwykle mniejszość, ale bardzo wytrwała i zaangażowana. To ciekawe, że na Zachodzie stereotypizuje się jogę jako „babskie zajęcie”, podczas gdy na Wschodzie tradycyjnie jogini to w większości mężczyźni. Również osób starszych jest na zajęciach raczej niewiele, co nie znaczy, że nie są dla nich odpowiednie. Zupełnie niepotrzebnie zakładają, że sobie nie poradzą. Praktyka jest dostosowywana do indywidualnych możliwości każdego uczestnika – ćwiczenia można wykonywać w różnych zakresach lub zastąpić je innymi. A oprócz oczywistego efektu prozdrowotnego joga ma dla nich jeszcze jedną zaletę: to okazja do wyjścia z domu, otwarcia się na świat. Sala ćwiczeń to miejsce, gdzie nawiązują się nowe znajomości, nawet przyjaźnie, i naprawdę czuje się wsparcie i motywację płynącą od innych ćwiczących – czasem jest to dobre słowo, a czasem tylko porozumiewawcze spojrzenie albo uśmiech.

PODOBNO JOGA JEST LEKIEM DLA CIAŁA I DLA DUCHA. JAKIE DOLEGLIWOŚCI MOŻNA DZIĘKI NIEJ ZŁAGODZIĆ?

Jeśli mówimy o samych asanach, to głównie schorzenia kręgosłupa i układu ruchu w ogóle. To świetna terapia, pozwalająca przy regularnej praktyce pozbyć się bólu, napięcia, a nawet wad postawy – wiem to po sobie. Poza tym joga pomaga zredukować nadciśnienie, odczyny zapalne, a nawet ryzyko porodu przedwczesnego oraz powikłań okołoporodowych. Ma dobroczynny wpływ na ogólne samopoczucie, a umiejętnie prowadzona praktyka może okazać się efektywną terapią w przypadku zaburzeń psychicznych, np. depresji. Przeciwwskazaniem do uprawiania jogi są jedynie groźne schorzenia fizyczne, jak na przykład aktywna choroba nowotworowa, i ciężkie zaburzenia psychiatryczne. No i ciąża, jeśli jest zagrożona lub jeśli kobieta nie ma doświadczenia z tego rodzaju pracą z ciałem.

JOGA W POLSCE MA JESZCZE JAKIŚ ZWIĄZEK Z KULTURĄ WSCHODU, Z KTÓREJ SIĘ WYWÓDZI, CZY JEST ZUPEŁNIE ODERWANA OD KONTEKSTU KULTUROWEGO?

To zależy. Można powiedzieć, że nurt vinyasa krama, który reprezentuję, został „zaimportowany” bez wprowadzania szczególnych modyfikacji. W vinyasie zajmujemy się asanami w synchronizacji z oddechem, ale nie tylko nimi: również ćwiczeniami oddechowymi, koncentracyjnymi, medytacyjnymi. Jednak nie wszystkie szkoły uwzględniają ten kontekst. Na Zachodzie co jakiś czas powstają nowe metody i style, jak na przykład hot yoga czy speed yoga, względem których mam mieszane uczucia. Pokutuje też nadal wiele mitów na temat jogi. Niektórzy uważają, że polega ona na siedzeniu w lotosie i medytowaniu cały dzień, przez co człowiek odcięty jest od rzeczywistości, inni zaś postrzegają ją wyłącznie jako łagodne zajęcia fitnessowe. Wielu chciałoby uzyskać dzięki niej wyciszenie i spokój, ale bez wysiłku, który jest do tego niezbędny. Poza tym w jodze nie chodzi o to, by ustawić się jak model w książce, ale o odtworzenie pracy, która jest istotą danej asany. My, na Zachodzie, chcielibyśmy wszystko osiągać teraz, zaraz. Nie dajemy sobie czasu, gdy potrzeba cierpliwości i pracy, a z tego często rodzą się kontuzje. Tworzymy asanę od zewnątrz zamiast od wewnątrz, wciskamy się w pozycje, na które nie jesteśmy gotowi, a potem dziwimy się, że coś nas boli.

JAK JOGA ZMIENIŁA TWOJE ŻYCIE?

Ona je w dalszym ciągu zmienia. Do tej pory dała mi grono fantastycznych znajomych, zawód i umiejętność patrzenia na wiele spraw z innej perspektywy. Wcześniej miałam tendencję do porównywania się z innymi i nadmiernego perfekcjonizmu. W jodze nie ma na to miejsca – jesteś ty i twoja praktyka, całą resztę zostawiasz poza matą. Pracujesz nad sobą, swoim charakterem i ciałem. Dzięki niej czuję się sama z sobą bardziej komfortowo i po prostu jestem… szczęśliwsza.

Tekst: Marzena Rogozik
Zdjęcia: Marcin Kądziołka

MIŁOŚCIĄ DO MOTOCYKLI ZARAZIŁ JĄ TATA. KIEDY MIAŁA OSIEM LAT, JEŹDZIŁA Z NIM NA MOTOROWERZE, AŻ WRESZCIE KTÓREGOŚ DNIA POZWOLIŁ JEJ PROWADZIĆ SAMODZIELNIE. TO WYSTARCZYŁO, BY ZŁAPAŁA MOTOCYKLOWEGO BAKCYLA. MONIKA JAWORSKA, ZNANA W ŚRODOWISKU MOTOCYKLISTÓW JAKO KATANKA, MISTRZYNI WŁOCH KOBIET 2011 W JEŹDZIE NA MOTOCYKLU I ZAŁOŻYCIELKA MOTO SZKOŁY, OD WCZESNYCH LAT INTERESOWAŁA SIĘ TAKŻE SAMOCHODAMI. SZEŚCIOLETNIEJ MONICE TATA POZWALAŁ KRĘCIĆ KIEROWNICĄ I NACISKAĆ PEDAŁY, JUŻ WTEDY MOTORYZACJA STAŁA SIĘ JEJ PASJĄ.



MOTO (LOVE) STORY

NIE SŁYSZĄC RYKU SILNIKA

Monika jest niesłysząca od urodzenia, jednak – jak twierdzi – nie przeszkadza jej to w realizowaniu swoich pasji. Nie uważa tego za dyskomfort. Po prostu bacznie obserwuje otoczenie, widzi, co dzieje się na drodze, i potrafi zorientować się w sytuacji, obserwując zachowania innych kierowców. O tym, że nie stanowi to dla niej żadnej przeszkody, świadczy fakt, że nigdy nie uległa wypadkowi ani żadnego nie spowodowała, jeśli nie liczyć „wywrotki” na skuterze, kiedy była nastolatką, czy wpisanych w wyścigi upadków na torze.

— Mama zawsze się o mnie bała, martwiła się, że może mi się coś stać. Nigdy nawet nie była na żadnym wyścigu… A kiedy kupiłam pierwszy motocykl, ukrywałam go, żeby się nie denerwowała – wspomina Monika.

Najpierw jeździła na motorowerach. Potem, kiedy miała 17 lat, kupiła sobie swój pierwszy większy motocykl – hondę VFR 750F. Od tamtego czasu w jej życiu było ponad 20 różnych motocykli. Dziś ma ich dziesięć, cross do jazdy w terenie, jeden do jazdy po mieście, kilka na wyścigi. Jednak najbardziej lubi jeździć na swoim suzuki GSX-R 1000 K8, zakochała się też w ducati panigale R. Na co dzień najczęściej wybiera suzuki DRZ 400 SM albo vespę. Swoją technikę jazdy wypracowała sama. Nie pobierała lekcji u trenerów, nie ćwiczyła z profesjonalistami. Jest samoukiem, który wyrósł na mistrza.

Z PODWÓRKA NA TOR WYŚCIGOWY

Jej droga do jazdy wyczynowej rozpoczęła się, gdy miała 19 lat. W salonach szukała nowego, większego motocykla. W jednym z nich dostrzegła hondę CBR 1000, ale właściciel stwierdził, że to motocykl o dużej mocy, i poprosił, by przyszła z rodzicami. Ostatecznie dzięki niemu zaczęła się jej przygoda z wyścigami. Zaproponował, by Katanka spróbowała swoich sił na torze w klasie 125. Potem dostała propozycję wystartowania w Mistrzostwach Polski. Jej sposób na sukces to dobra technika, a nie szybkość. Dzięki technice udało jej się zdobyć wiele prestiżowych tytułów i nagród. W 2009 roku zdobyła II miejsce na Mistrzostwach Włoch Kobiet i Mistrzostwach Europy Kobiet, a w zeszłym roku tytuł Mistrzyni Polski Honda Gymkhana w klasyfikacji kobiet.

— Największym osiągnięciem dla mnie jest zajęcie I miejsca podczas jednej z rund na Mistrzostwach Polski. Udało mi się zwyciężyć mimo złych warunków pogodowych, bo podczas wyścigu padał deszcz. Ja w ogóle lubię jeździć w deszczu, a kiedy pada, to jest to dla mnie dobry znak – wtedy wszyscy prorokują, że na pewno wygram – uśmiecha się Monika Jaworska.

SZKOLENIE POD OKIEM MISTRZA

Jej umiejętności, talent i kolejne sukcesy sprawiły, że znajomi i koledzy motocykliści prosili ją, by ich podszkoliła, pokazała jakieś techniczne chwyty na torze. Początkowo uczyła bezinteresownie wśród swoich znajomych, ale kiedy zaczęli się zgłaszać kolejni chętni, postanowiła otworzyć szkołę i prowadzić profesjonalne szkolenia. Dziś w działającej od dwóch sezonów Moto Szkole Moniki Jaworskiej każdy może poprawić technikę jazdy, a tym samym zwiększyć bezpieczeństwo swoje i innych kierowców.

Moto Szkoła jest dużym sukcesem Katanki, ale jej marzeniem jest posiadanie własnego toru niedaleko Krakowa, nie tylko dla siebie, ale i dla innych motocyklistów, by mogli na nim ćwiczyć i trenować, bo tak naprawdę niewiele jest takich miejsc w okolicy.

— Znamy się z Moniką od jakichś 7 lat, poznałyśmy się na jednej z imprez motocyklowych. Ona ma po prostu wrodzony talent do jazdy i to ją odróżnia zarówno od innych kobiet, jak i od mężczyzn motocyklistów. Ma świetną technikę i lubi się dzielić swoimi umiejętnościami z innymi – mówi Maria Marzec, motocyklistka i menedżer Moniki.

W tym tygodniu Moto Szkoła Moniki Jaworskiej wraz z SMGP organizuje kolejną edycję Motokręcioły i zawodów o Puchar Katanki. W dniach 10-11 sierpnia na Motodromie przy ul. Stella-Sawickiego miłośnicy motocyklowego szaleństwa będą mogli oglądać zaciętą rywalizację o puchar, a także wziąć udział w szkoleniu. Monika lubi takie wyzwania i chętnie je podejmuje. Nie boi się ani rywali, ani prędkości, bo przecież do odważnych świat należy!

Tekst: Marzena Rogozik
Zdjęcia: Marcin Kądziołka





GUMY, KAPSLE I MONETY,

CZYLI RZECZ O CYMBERGAJU W CYBERCZASACH

Ciężko jest pisać o czasach, w których się nie żyło, szczególnie z obecnej perspektywy. Bo i co można powiedzieć o grach i zabawach podwórkowych sprzed doby Internetu? Niewiele, bo pamięć zawodzi, choć i tak nie jestem do końca typowym wytworem XXI wieku. W klasy grałam, przez gumę przeskoczę, a bycie „matką" w dwóch ogniach należało do jednych z moich ulubionych zajęć. Ale jak wytłumaczyć dzisiejszym nastolatkom żeby – między wrzucaniem kolejnego zdjęcia na portal społecznościowy a zerkaniem w ekran TV z popularnymi „talent show" – posłuchali opowieści o czasach, kiedy nie było Internetu i komputera i wyciągnęli z tego jakieś wnioski? Takie mędrkowanie jest, mówiąc językiem młodzieżowym, trochę obciachowe, wiem. Ale czy przypadkiem nie większym obciachem jest nie wiedzieć, jak się gra w kapsle i na czym polega robienie „kiełbaski" na trzepaku?

PIŁKA PONAD WSZYSTKO

Wakacje. Czas płynie wolno, leniwie, bez pośpiechu. Czas wyjazdów – na kolonie, obozy, wczasy pod gruszą. Co robić między kolejnymi wyjazdami albo kiedy wyjazd ma się już za sobą? Odpowiedź wydaje się prosta – mieszkamy w dużym mieście, są przecież baseny, parki, wolny czas, podwórko… Czego chcieć więcej?

Spaceruję przez gęstą od zieleni Nową Hutę, mijam kolejne bloki, wjazdy na podwórka, nowe place zabaw i ze zdziwieniem stwierdzam, że jest po prostu pusto. I przypominam sobie, że ktoś mi gdzieś za uchem szeptał, że podwórek już nie ma, że jakoś tak cicho pod oknami. Nie zwracało to mojej szczególnej uwagi, ale po bacznej obserwacji mijanego terenu musiałam przyznać, że faktycznie, ruchu większego brak. Kiedyś jakoś gęściej było na tym „polu". Dosiadam się na ławkę do pana, który czeka na spacerującego nieopodal siwego kundelka, i pytam o podwórka sprzed kilkudziesięciu lat.

— Proszę pani, kiedy przychodziły wakacje, to mnie cały dzień w domu nie było – opowiada. — Matka z trudem przywoływała mnie na obiad. Cały czas się coś robiło, coś się działo i, broń Boże, nie kombinowaliśmy w negatywnym znaczeniu, co by tutaj przeskrobać. Zbierało się nas kilku i już była zabawa, chociażby w piłkę.

O grze w piłkę krążą legendy. Każdy mężczyzna, którego pytam o zabawy podwórkowe sprzed lat – obojętnie czy za Gomułki, czy te z drugiej połowy lat 90. – ma w oczach charakterystyczny błysk, kiedy mówi o piłce.

— To była świętość. Wystarczyły dwa swetry, które kładło się po bokach w charakterze prowizorycznych bramek, czterech chłopaków i już była drużyna – mówi jeden z nich. – Nie wiem, jak to jest możliwe, że dzisiaj na podwórkach i boiskach jest naprawdę pusto! Wtedy nie było gdzie grać, biegało się byle gdzie, a teraz jest tyle pięknych placów zabaw, są piękne boiska przy szkołach i wszystko to świeci pustkami.

Boiska to jedno. Pustkami świeci ulica, zakątki przy blokach, podwórka.

— Przechodząc tędy trzydzieści lat temu, musiałaby pani robić slalom pomiędzy rozwrzeszczanymi dzieciakami – śmieje się mój kolejny rozmówca, wskazując na otaczające nas terytorium. Wąski wjazd w środek osiedla, wokół bloki i zieleń. — O, tutaj dziewczyny na pewno skakałyby na gumie, a tutaj byłby świetny tor do zabawy w żużel na rowerach.

KAPSLE, MONETY I INNE… ZABAWKI

I tu dochodzimy do sedna sprawy. Bo co pokolenie, to inny zwyczaj, choć niejednokrotnie zabawy były powielane przez kolejne pokolenia.

Zaczepiam panią, która prowadzi na trójkołowym rowerku kilkuletnią wnuczkę. Wspomnienie gier podwórkowych budzi u niej uśmiech.

— Przede wszystkim klasy i skakanie na gumie. Cóż to była za trudność, żeby nie było skuchy! – śmieje się. — Nie wszystkim się udawało, trzeba było być naprawdę zwinną. To były gry typowo dziewczyńskie. No i jeszcze trzepak i wszystkie akrobacje na nim. Mama stała w oknie i krzyczała, jak widziała nasze salta i koziołki. To też była nie lada sztuka, bo o rozbite kolano było nietrudno!

Jednak trzeba przyznać, że podwórko było zdecydowanie zdominowane przez chłopców. I to nie tylko ze względu na piłkę nożną, którą kopano wszędzie, łącznie z szybami sąsiadów i o każdej porze dnia aż do późnego wieczora.

— Proszę pani, zabaw było mnóstwo. Kojarzy pani grę w dołek? – pyta pan, któremu właściwie ja pierwsza zadałam pytanie. — Wykopywano niewielki dołek, wokół którego wyrównywano teren, a następnie z odległości kilku metrów rzucano 1-złotowe monety.

No i gra „w noża", ha! – Rozpływa się we wspomnieniach mój rozmówca. — Na ziemi rysowało się okrąg, do którego rzucano nożem z różnych pozycji tak, żeby się po prostu wbił. Grano też w państwa – rysowano kulę ziemską, każdy dostawał swoje terytorium i rzucając nożem, „zabierano" terytoria przeciwnikom. Obydwie zabawy nie były zbytnio pochwalane przez rodziców – uśmiecha się.

Pomysłowość nie znała granic – z racji trudnego dostępu do zabawek te tworzono na własny użytek. Stąd między innymi niezwykła popularność… kapsli od butelek. Wykorzystywanych na przykład do gry w kolarzy lub kapsle – nazwa gry bywa sporna, choć zasady obowiązują te same.

— To kolejna super zabawa z tamtej epoki – opowiada dalej zagadnięty przeze mnie mężczyzna. — Kredą… Gdzie kredą? Kamieniem rysowano na podwórku trasę. Różną. Długą, krętą, prostą, wszystko zależało od fantazji biorących udział w grze. A potem brano kapsle, ustawiano na mecie i każdy pstrykał palcami w swój kapsel tak, żeby ten jak najdalej „zajechał". Jak wypadał z trasy, zaczynał od miejsca, w którym się znajdował przed pstryknięciem. Takie proste, a ile emocji przy tym było!



Przy okazji pstrykania, kapsli i monet przypomniała mi się nazwa innej gry – cymbergaj. Wystarczyło tylko wspomnieć nazwę, a pan już wiedział, o co chodzi.

— Oczywiście! W cymbergaja można było grać na polu, chociaż lepiej się grało na blacie szkolnej ławki, szczególnie podczas lekcji. — Śmieje się. — Na wolnej powierzchni rysowano boisko do gry w piłkę nożną w wersji mini. Dwie monety jednej wielkości imitowały piłkarzy, jedna mniejsza – samą piłkę. Każdy z grających miał w ręce grzebień (mogła to by także linijka lub zwykły kawałek listwy), którym uderzał w swojego „piłkarza", mającego trafić w „piłkę".

Popularną zabawą, związaną z niekonwencjonalnym zachowaniem wobec dziwnych przedmiotów, był także „dmuchac". O tym opowiadał mi z kolei tata, również zacny przedstawiciel pokolenia słynącego z pomysłowości i kreatywności w wymyślaniu zabaw. Wystarczył blat szkolnej ławki (albo stół w domu – wersja na brzydką pogodę) i dwie monety. Trzeba było tak długo dmuchać monetę, żeby pokryła w pełni drugi pieniądz. Oczywiście, ten, kto dokonał wyczynu, zabierał obydwie monety, więc gra mogła podchodzić pod hazard. Ale zaangażowanie w dmuchanie, obieranie specjalnych taktyk w poruszaniu ustami i miny kolegów – podobno bezcenne.

PRZEKONANIE, KTÓRE NIE MIJA

Zośka, Baba Jaga patrzy, gra w zdobyte, wszelkie odmiany berków, gra w zielone… Można wymieniać, a i tak pewnie każdy znalazłby coś do dodania od siebie. I w ten sposób mijał czas – czy to w wakacje, czy popołudniami po szkole. Czemu teraz tego nie ma?

— Komputer, komputer i jeszcze raz komputer – tłumaczy była entuzjastka gry w gumę. — Każdy ma w domu sprzęt, oprócz tego jest telewizja, a jak już pilnujący rodzice odgonią od komputera, to zawsze zostaje podręczny sprzęt w postaci telefonu komórkowego. I tak się spędza czas.

Rzeczywiście. Gdzie nie spojrzeć, mijające mnie nastolatki są w trakcie wysyłania SMS-ów lub odtwarzania muzyki z telefonów; siedząc na ławce pod blokiem, każdy jest wpatrzony w mały ekran komórki. „Za moich czasów…" – zaczynam myśleć, choć nic bardziej mylnego. Sama łapię się na tym, że podczas spotkań towarzyskich część znajomych co chwilę zerka niespokojnie w stronę telefonów, oczekując znajomego pikania, oznaczającego nadesłaną wiadomość. Choroba naszych czasów?

— Pewnie tak, każde czasy są narażone na jakąś szkodliwą modę – mówi zaczepiony przeze mnie mężczyzna, jak wyniknęło z rozmowy, znawca gier podwórkowych. — Tylko każda moda ma to do siebie, że przemija. Proszę sobie wyobrazić, że to pokolenie, które wychowuje się bez integracji podwórkowej, wśród nowoczesnej techniki, będzie miało niemałe problemy z adaptacją w różnych środowiskach. Pomoc fachowców będzie wręcz wskazana. I być może w następnych pokoleniach będzie istniało przekonanie, że bez podwórka i rywalizacji – nie w cyberświecie, ale na przestrzeni pod blokiem – tak naprawdę kształtuje się człowiek i jego charakter.

Tekst: Anna Piwowarczyk
Grafika: Łukasz Lenda

Grafika: Łukasz Lenda

GRY ZABAWA



DOBRZE, ŻE NIE ZOSTAŁEM AKTOREM

KIEDY PRZYCUPNĄWSZY NA NISKIM MURKU PRZED WARSZTATAMI TERAPII ZAJĘCIOWEJ „KLIKI” NA OS. ZŁOTEJ JESIENI, ROZMAWIAM Z ANDRZEJEM SZWALEM O JEGO ŻYCIU I TEATRZE, PRZEZ OTWARTE OKNO DOBIEGAJĄ NAS GŁOSY JEGO AKTORÓW-AMATORÓW. PRACUJE Z NIMI OD SIEDMIU LAT.

Przygotowuje adaptacje tekstów literackich, wierszy, dba o stroje, scenografię, dobrą atmosferę. Prowadzi próby, czuwa nad całością i detalami. Reżyseruje i gra. Bo tak naprawdę to zawsze chciał być aktorem. Zawsze, tzn. do czasu, kiedy nie został instruktorem teatrów amatorskich. „Kiedyś mi się nie powiodło, gdy chciałem zostać aktorem. Wymogi wtedy były takie, że aktor musi być w pełni sprawny, a ja mam tę przypadłość, że kuleję. Zająłem się więc teatrem od innej strony – i okazało się, że ten sposób może być sposobem na życie”.



TEATR MIĘDZY WIERSZAMI

Swoją pracę zawodową zaczął nie od teatru, a od muzeum. Pracował jako pomocnik muzealny w Zamku na Wawelu. O Studium Kulturalno-Oświatowym, na którym w 1985 roku skończył specjalizację teatr amatorski, dowiedział się między wierszami od swojego kumpla z pracy. Całkiem dosłownie między wierszami, bo jak mówi: „Jestem również trochę poetą. Siadywałem czasami z tymi moimi rzeczami, on to widział i któregoś dnia zagadnął, że jest w takiej szkole. Spróbowałem i tak zostałem instruktorem teatru amatorskiego”. Robi to, co lubi – i lubi to, co robi. Dlatego nie ma dla niego znaczenia, czy pracuje z dziećmi czy dorosłymi, ze zdrowymi czy niepełnosprawnymi, byleby tylko to był teatr. Inaczej pracuje się z dziećmi i inaczej z dorosłymi, a praca z każdą z tych grup ubogaca. Trochę z nostalgią mówi o tym, że w aktorstwie mógłby się doskonale odnaleźć, że rozwinąłby się w tym, że to mogłoby się udać. Jednak otwarcie przyznaje, że to, co robi nieprzerwanie od lat trzydziestu, jest ciekawsze, że będąc aktorem, nie poznałby tylu ciekawych ludzi. Tak różnych. Ruchem głowy wskazuje w kierunku otwartego okna, skąd dochodzą odgłosy próby, i mówi: „Pracuję z nimi na co dzień i jest to dużo bogatsze, niż gdybym stał na scenie. To jest coś, co mogłoby mnie ominąć. Są te zrządzenia Boże, które dają czasem inny ogląd”. Tak to się ciekawie w jego życiu układało, że pracował ze wszystkimi grupami wiekowymi. Obecnie prowadzi między innymi „Kabaret Niebardzo Starszych Pań i Panów”, a przy jego tworzeniu pracuje z osobami powyżej 50. roku życia.

BON TON „KLIKI”

Od roku 2007 prowadzi pracownię teatralną na Warsztatach Terapii Zajęciowej w „Klice”. Mówiąc o specyfice tej pracy, podkreśla, że „praca nad teatrem z osobami niepełnosprawnymi i sprawnymi właściwie niczym się nie różni. Niepełnosprawność to coś, co przede wszystkim mamy w głowie. Jeśli się tego pozbędziemy, to jesteśmy ludźmi sprawnymi”. Owocem tych warsztatów jest „TON Kliki”, czyli Teatr Osób Niepełnosprawnych „Klika”. W repertuarze ma projekty dla dzieci, młodzieży i osób dorosłych. Spotykając się z dziećmi, prezentują pogodny świat Brzechwy i Tuwima. Młodzież i dorosłych zapraszają do wspólnej refleksji o ludzkiej wolności i przywołują teksty Mickiewicza, Słowackiego, Herberta. Istotą tych spotkań z widzami jest interakcja. Widzowie, ci młodsi i starsi, są zapraszani do współtworzenia teatru, który dla Andrzeja nie może być czymś udawanym. Z nadzieją w głosie zauważa, że „teraz zrobił się dobry czas do prezentowania takich rzeczy”. „TON Kliki” zaistniał również na przeglądzie teatrów amatorskich podczas Tygodnia Osób Niepełnosprawnych na przełomie maja i czerwca.

MNIEJ „INTEGRACJI”, WIĘCEJ INTEGRACJI

Opowiadając o tym, z nieukrywanym zadowoleniem wystrzega się używania słowa integracja. Dlaczego? „Bo nie lubię tego słowa. Integracja to jest słowo, które albo ktoś pojmuje i ma w sobie, albo tylko się nim szermuje i na tym sie kończy. Czasami jest dobrym słowem na zdobycie środków unijnych. Natomiast robienie tego na co dzień, bez zadęcia, normalnie jest rzadkością”. I tak właśnie robi to Andrzej i jego „TON Kliki” – bez zadęcia, normalnie, nie nadużywając słowa integracja. Po swoich przedstawieniach, w trakcie których dzieci są np. żabakami, a Andrzej hipopotamem, który chce się nauczyć kumkać, płynnie i swobodnie zaczynają rozmawić z dziećmi, o sobie, o swojej niepełnosprawności, o tym, jak radzą sobie z niepełnosprawnością, z tym, co ludzie na co dzień tak określają. Nie przygotowują się do tych rozmów. Na szczere dziecięce pytania udzielają szczerych odpowiedzi.

PRACA U PODSTAW

Dla uczestników grupy teatralnej zajęcia, jakie proponuje i zadaje im Andrzej, są odskocznią i pracą – przez tych kilka godzin, które każdego dnia spędzają na Złotej Jesieni. Przez lata działalności skład ekipy aktorskiej się zmieniał, powiększał, malał i znów powiększał. Teatr wózokowiczów stał się na tyle samodzielny, że obecnie działa jako spółdzielnia socjalna. Są też inne zmiany, bardziej subtelne, niezauważalne dla kogoś, kto nie towarzyszy tym aktorom na co dzień. Ale nie dla Andrzeja, który z przyjemnością opowiada o Asi, kilka lat wcześniej mającej trudności z pamięciowym opanowaniem kilkuzdaniowego tekstu, a dzisiaj swobodnie sobie poczynającej z „Panem Tadeuszem”. „Opanowała całą Inwokację i Koncert Jankiela” – mówi Andrzej.

— Ooo, słyszę saksofon! To u Was? – pytam.

— Tak. Od 2010 jest z nami Rysiu, który gra na saksofonie. Bardzo się podoba dzieciakom, kiedy improwizuje odgłosy słoniowej trąby. Musisz kiedyś do nas przyjść i zobaczyć, jak grają.

Przyjdę i zobaczę. I będzie to opowieść o aktorach. Ale już w innym, jesiennym numerze „Lodołamacza”.

Tekst: Anna Kasprzyk
Zdjęcia: archiwum Roberta Noconia

PICCOLO CORO DELL'EUROPA, CZYLI JAK BYĆ POWINNO...

Gdzieś pomiędzy światem dzieci a światem dorosłych istnieje pewna granica. Granica, która z czasem się zaciera i pozwala wniknąć w jedną z rzeczywistości. Wtedy przekonujemy się, że dzieci wiedzą więcej, niż nam się wydaje, a dorośli już dawno zatracili się w swoim świecie. Nikt z nich nie zwraca uwagi na to, co myślą najmłodsi, jak widzą świat i co chciałyby w nim zmienić. Iga Gańczarczyk wyszła naprzeciw temu i stworzyła niesamowity spektakl, który mówiąc najprościej „powala na kolana”.

Reżyserka spektaklu „Piccolo Coro dell'Europa”, jak sama mówi, rozpoczynając pracę z dziećmi, nie miała gotowego scenariusza. Miała zaledwie szkic tego, co chciałaby pokazać. W dużej mierze to razem ze swoimi podopiecznymi stworzyła widowisko. To oni pomogli jej tchnąć życie w każdą z ról.

Sala pogrążona jest w mroku. Widz czuje, że przenosi się w jakiś „inny” tajemniczy świat. Po chwili na scenę wychodzą dzieci w maskach i następuje ich autoprezentacja. Każde z osobna przedstawia się imieniem, dodając przymiotnik, który określa jego zdolność artystyczną. W okamgnieniu ze „zwykłych” dzieci przemieniają się w doskonałych aktorów potrafiących wczuć się w swoje role. Na samym początku przenosimy się do Krainy Liliputów, aby uczestniczyć w wielkiej debacie na temat tego, czy lepiej jest być dużym czy małym. Jest to nawiązanie do książki Jonathana Swifta „Podróże Guliwera”. Następnie lądujemy na wyspie Króla Maciusia, który jest nazywany „smutnym królem”. Chciał on stworzyć takie państwo, w którym nie byłoby biedy, problemów i cierpienia. Chciał stworzyć państwo idealne, w którym każdy byłby szczęśliwy. Niestety, nie udało mu się to. Królowie Maciuś Pierwszy Reformator i Felek przybywają do starego króla i nie mogą zrozumieć, jak to się stało, że mimo tylu chęci w kraju jest tak źle. Po krótkiej wymianie zdań z władcą ruszają do parlamentu dziecięcego. Tutaj każdy z „aktorów” mówi, jakie prawa powinny otrzymać dzieci. Wbrew wszystkim regułom dorośli najczęściej zapominają o tym, co dla dzieci jest tak naprawdę ważne.

Warto zwrócić uwagę na dwie piosenki, które pojawiają się w całym spektaklu. Pierwszą jest piosenka Michaela Jacksona „We Are the World”, którą dzieci wykonały z takim optymizmem, że można byłoby słuchać jej bez końca. Druga piosenka bardziej przypomina rapowanie. Tutaj dzieci wytykają wszystkie błędy dorosłym. Zaczynając od kłamstw, a kończąc na dużych wymaganiach, jakie są im stawiane. Czasami najstarsi sami nie potrafią sprostać tym oczekiwaniom, a żądają tego od najmłodszych. W ciągu trwania spektaklu wiele razy pojawia się również problem: „Jacy tak naprawdę powinni być dorośli”.

W widowisku „Piccolo Coro dell'Europa” poruszany jest największy problem dzisiejszego świata – problem biedy. Dzieci w wywiadzie dla „Piccolo Studio TV” mówią o tym, w jaki sposób pomogłyby ludziom, którzy nie mają pieniędzy. Moment ten w spektaklu jest jedną wielką improwizacją „aktorów”. Najmłodsi mówią o swoich pragnieniach pomocy. One przecież doskonale widzą, że „coś jest nie tak”. Mają pomysł, jak temu zaradzić, ale są zbyt małe, żeby to zrobić, a dorośli (często) nie zwracają uwagi na ich myśli. Dzieci przecież też mają swoje prawa i chcą o nie walczyć, na co wskazują m.in. kartki, jakie otrzymali podczas widowiska dorośli widzowie – na każdej z nich napisane było jedno prawo, jakiego oczekują dzieci.

Do spektaklu „Piccolo Coro dell'Europa” podchodziłam bardzo sceptycznie. Nie byłam w stanie wyobrazić sobie, jak dzieci mogą poradzić sobie z zapamiętaniem ról czy też prawidłowym odegraniem każdej z nich. Jakież było moje zaskoczenie, gdy rozpoczął się spektakl. Przez cały czas trwania sztuki z zapartym tchem oglądałam to, co najmłodsi wyczyniali na scenie. Widowisko było niesamowite, a występujące w nim dzieci – jeszcze lepsze. Każde z nich zasługuje na wielkie słowa uznania za to, że tak dobrze odegrało swoją rolę. Dzieci wykazały się prawdziwym profesjonalizmem, jakiego często brakuje wielu zawodowym aktorom.

Wielkie słowa uznania dla: Oliwii Dębosz, Gabrieli Fielek, Anny Gabańskiej, Adama Gilarskiego, Róży Głąbińskiej, Zofii Gniadek, Kuby Kiełbiowskiego, Marii Kruszyńskiej, Zofii Krzyszczychy, Elizy Kuczyńskiej, Alicji Madejskiej, Anastazji Martyniec, Damiana Ruszkowskiego, Dominiki Rykały i Igora Wypióra.

Wszystkich, którzy chcieliby obejrzeć spektakl, zapraszam do Teatru Łaźna Nowa już jesienią. Jak powiedział po premierze dyrektor teatru Bartosz Szydłowski, spektakl „Piccolo Coro dell'Europa” będzie również grany podczas Festiwalu Boska Komedia.

Tekst: Agnieszka Kobroń
Zdjęcie: Tomasz Wiech



Higiena myślenia dbaj o higienę myślenia dbaj o
ŁAŹNIA NOWA
SIERPIEŃ
ZAPRASZAMY NA PIKNIK W OGRODZIE!
11 SIERPNIA//15:30
18 SIERPNIA//15:30
KASA BILETOWA CZYNNA:
WTORKI 8:30-15:30
CZWARTKI: 14:00-18:00
TEL: 12-680-23-40
REZERWACJA TEL: 12-680-23-41
OD PONIEDZIAŁKU DO PIĄTKU
GODZ. 8:00-16:00
REZERWACJA@LAZNIANOWA.PL
WWW.LAZNIANOWA.PL



MINI DLA KONESERA

MAŁE JEST PIĘKNE... A MAŁE MECHANICZNE? PIĘKNE I SZYBKIE. POWIEDZMY, MAKSYMALNIE DO 90 KM/H. POTEM JUŻ MOŻNA OBIJAĆ SIĘ OD PRAWEJ DO LEWEJ, KIEROWNICA DOSTAJE NAPADU KONWULSJI, A DESKA ROZDZIELCZA TELEPIE SIĘ NIEMIŁOSIERNIE. MINI MORRISY! OCZKO W GŁOWIE GRZEGORZA MOTAKA, WŁAŚCICIELA FIRMY EVENT WORLD. MAŁE, UROCZE I WYMAGAJĄCE STAŁEJ OPIEKI.

Zaczęło się od giełdy staroci. Początkowo o pasji nie było mowy. Pierwszy Mini został zakupiony jako maskotka giełdy. Miał być jej oryginalną ozdobą, zwracać uwagę, czasem jeździć po mieście z reklamą. Tak się zaczęło. Miłość przyszła z czasem. Teraz pan Grzegorz jeździ nim nawet do pracy, a ostatnio do towarzystwa dokupił mu kompana – niebieskie cabrio. Bo małe szczęścia chodzą parami!

Pierwszy nabytek – klasyczny czarny Morris na krakowskich ulicach nie jest rzadkością, za to cabrio to już rarytas. A ten w dodatku jest prawdopodobnie jedynym w Polsce dostępnym do wypożyczania. Oba Mini należące do Event World można wypożyczyć na randkę za miasto, piknik, do sesji zdjęciowej i oczywiście na ślub! Mimo swoich mikroskopijnych gabarytów pomieszczą pannę młodą w sukni nawet pokaźnych rozmiarów…

UWAGA! AWARIA!

Mini Morrisy są zupełnie wyjątkowe. I nie chodzi tu jedynie o rozmiar czy wygląd. Od innych samochodów odróżnia je przede wszystkim fakt, że ciągle się psują.

— To takie dzidziusie, którymi trzeba się cały czas opiekować, choć nie są już wcale takie młode. Nasz pierworodny ma 25 lat, a cabrio to staruszek po czterdziestce. Na początku, przy zakupie, wydatek jest niewielki, bo nie są to bardzo drogie auta, ale jak już się kupi miniaka, to okazuje się, że jest jak skarbonka bez dna. Można byłoby ciągle coś dokupować, poprawiać, naprawiać, żeby był ładniejszy i sprawniejszy. A jak już się coś naprawi, to inna część zaczyna się psuć. Ostatnio podczas zlotu organizator pod każdego miniaka wkładał specjalną podkładkę, żeby olej nie kapał na podjazd – mówi Grzegorz Motak.

Miniaki zaskakują też samych mechaników i czasami stwierdzenie, co mu





dolega, zabiera im mnóstwo czasu. Są co prawda salony, które specjalizują się wyłącznie w naprawie mini Morrisów, ale w nich na regenerację silnika czeka się nawet rok! Żeby nie było tak całkiem pesymistycznie, przynajmniej części zamienne są łatwo dostępne.

CZTERY KÓŁKA JASIA FASOLI

Małe samochody w zeszłym stuleciu robiły oszałamiającą karierę w wielu krajach. Włoską motoryzację zrewolucjonizowała niegdyś słynna „pięćsetka", czyli maleńki dwudrzwiowy Fiat 500. W Niemczech triumfy święcił Volkswagen Garbus, czyli samochód dla ludu, a i my też mieliśmy swojego malucha – Fiata 126p, którego jeszcze dziś z wspominamy sentymentem. Mini Morris robił furorę w Wielkiej Brytanii, co utrwaliło się nawet w kinematografii. Sam Jaś Fasola jeździł przecież mini! Potem zupełnie zmieniono koncepcję. Nastały czasy modeli kombi, popularyzowanych jako samochody rodzinne, z dużą przestrzenią na zakupy, bagaże, wózki, no i przede wszystkim dzieci. Ale mini też jest prorodzinny!

— Znam kilku posiadaczy miniaków, i to zwykle są pary, które razem się nim opiekują, jeżdżą wspólnie dokądś na wypady. Znam też rodziny, które mają miniaka, ale zwykle jest to ich drugie auto. Czasami oczywiście wyjeżdżają z dwójką dzieci, na dachu bagaże, w bagażniku bagaże, na kolanach walizki, ale jak widać, da się! – śmieje się właściciel pary mini Morrisów. Grupa ambitnych studentów robiła kiedyś badania, z których wynika, że w maluchu może zmieścić się nawet dziewięć osób, więc i mini Morris mógłby pobić taki rekord.

Podobno im większy kompleks, tym większy samochód. Jeśli wierzyć temu stereotypowi, właściciele miniaków mają wysoką samoocenę. Tak czy inaczej, miłośników mini samochodów przybywa. Fanklub powiększa się o kolejnych pasjonatów małych czterech kółek, a w tym roku odbył się Pierwszy „Krakoski" Mobilny Zlot Mini.

— Do Pcimia, skąd wyruszał rajd, zjechało ponad dwadzieścia starych mini Morrisów i kilkanaście nowych. To podczas tego zlotu pomyślałem, że jeden miniak to za mało. On ciągle pracuje, albo stoi w galeriach, albo jeździ z reklamą, a przez to nie możemy jeździć na takie zloty. Przygarnąłem więc cabrio, którego poprzedni właściciel mieszkał w Austrii, a on samotny czekał na mnie w garażu. Mini rozpaliły we mnie miłość do starych samochodów – mówi Grzegorz Motak. – Teraz nieśmiało zerkam na „ogórka" i na Fiata 500. Kto wie, może w przyszłym roku dołączą do mojej kolekcji?

Tekst: Marzena Rogozik
Zdjęcia: Marcin Kądziołka





SŁAWIĆ TEN POWSTAŃCZY CZYN!

POWSTANIE WARSZAWSKIE – ZRYW ZBROJNY MIESZKAŃCÓW OKUPOWANEJ PRZEZ NIEMCÓW STOLICY POLSKI W TRAKCIE II WOJNY ŚWIATOWEJ. DO DZIŚ BUDZI WIELE KONTROWERSJI I OŻYWIONĄ DYSKUSJĘ NA TEMAT SENSU, PRZEBIEGU I SKUTKÓW DLA DALSZYCH DZIEJÓW POLSKI. JEDNO JEST PEWNE: PAMIĘĆ O TAMTYCH WYDARZENIACH, A PRZEDE WSZYSTKIM O POWSTAŃCACH JEST NIEZBĘDNA W EDUKACJI HISTORYCZNEJ MŁODYCH POKOLEŃ POLAKÓW.



PAMIĘĆ



Kult Powstania Warszawskiego najwidoczniejszy jest oczywiście w stolicy Polski. Na ulicy Grzybowskiej znajduje się tam Muzeum Powstania Warszawskiego. Zostało otwarte w przeddzień sześćdziesiątej rocznicy jego wybuchu – 31 lipca 2004 roku. O powstaniu pamiętają jednak nie tylko kombatanci, ich rodziny i miłośnicy historii. Mimo osądu niektórych o ignorancji młodego pokolenia, konsumpcjonizmie i wypieraniu się przeszłości – wielu młodych ludzi interesuje się powstaniem i chce pogłębiać wiedzę na jego temat. Popularny wśród młodzieży hiphopowy zespół Hemp Gru kilka lat temu nagrał znakomity teledysk do utworu „63 dni chwały". O powstańcach pamiętają także wszystkie pokolenia kibiców stołecznej Legii, regularnie uczestnicząc w obchodach rocznicy powstania. Kibice Legii i Polonii Warszawa prezentowali także oprawy meczowe z motywami powstańczymi, podobnie było zresztą w innych miastach, m.in. we Wrocławiu.

O Powstaniu Warszawskim pamięta się w całej Polsce, także w Nowej Hucie. Najwyraźniejszym przykładem jest placówka edukacyjna z osiedla Willowego. Imię „Powstańców Warszawy" zostało nadane Szkole Podstawowej nr 83 już 17 stycznia 1969 roku, dyrektorem był wówczas Stanisław Nowak. W wyniku reformy szkolnictwa w 1999 roku w placówce powstało Gimnazjum nr 45, które przejęło patronat. Imię gimnazjum nadano oficjalnie 6 marca 2002 roku – na czele szkoły stała wówczas Grażyna Markiewicz. Święto patrona szkoła obchodzi w październiku, przy okazji rocznicy upadku powstania. W pierwszą niedzielę października uczniowie i nauczyciele szkoły uczestniczą w specjalnej mszy świętej w kościele Św. Idziego z udziałem powstańców mieszkających na terenie Krakowa. Niebawem Gimnazjum nr 45 zostanie połączone z XVI Liceum Ogólnokształcącym, które nosi z kolei imię Krzysztofa Kamila Baczyńskiego – poety, który zginął w powstaniu jako żołnierz Armii Krajowej.

— Jesteśmy dumni z naszego imienia – mówi aktualna dyrektor szkoły Małgorzata Kozak-Zasadni. — Cieszymy się, że możemy kultywować tradycję, przenosić wspomnienia powstańców. Chcemy, żeby nasza młodzież o tym pamiętała – dodaje. W hallu gmachu znajduje się specjalna gablota poświęcona powstaniu, ze zdjęciami i pomnikiem. Patron zobowiązuje szkołę także do historycznych kontaktów zewnętrznych.

— Współpracujemy z Klubem Powstańców Warszawy, Muzeum Armii Krajowej i Muzeum Powstania Warszawskiego – wymienia pani dyrektor. W placówce w celu upamiętnienia powstania uczniowie przygotowują program artystyczny. Udało się zorganizować kilka wycieczek do stołecznego muzeum powstania. Powstańcy spotykają się w szkole z uczniami i opowiadają o swoich losach, które przeżywali często jako rówieśnicy nowohuckich gimnazjalistów. Kombatanci odwiedzają gimnazjum przy okazji świąt, np. Bożego Narodzenia, lub ślubowania klas pierwszych. Śpiewany jest wówczas bardzo podniosły hymn szkoły (autorstwa m.in. byłej nauczycielki muzyki w szkole – Joanny Pozłutko), który kończy się słowami:

„(…) Dlatego chcemy nosić imię Wasze, by sławić ten powstańczy czyn. Nie zaprzepaścić gdzieś o Polsce marzeń, zachować pamięć tamtych dni. Patronem naszym niechaj pozostanie bohater, warszawski powstaniec!"

Tekst: Tomasz Piwowarczyk
Zdjęcia: Anna Szałaj

REDAKCJA

LODOŁAMACZ, bezpłatny dwutygodnik Nowej Huty. **Nakład:** 10 tysięcy egzemplarzy. **Redaktor Naczelna:** Matylda Stanowska. **Redaktor prowadzący:** Tomasz Piwowarczyk.
Stała współpraca: Sonia Kozińska, Eliza Kubiak, Weronika Kupiszewska, Katarzyna Kąkolewska, Filip Michno, Anna Lepszy, Anna Piwowarczyk, Marzena Rogozik, Anna Szałaj, Anna Szczygieł, Joanna Urbaniec, Jarosław Tochowicz, Małgorzata Wąsik, Małgorzata Wierzchowska, Jacek Paweł Dargiewicz, Marcin Kądziołka, Jakub Kusy, Łukasz Lenda, Tomasz Bohajedyn. **Korekta**: Wojciech Lulek. **Projekt graficzny i łamanie:** Creator.pl
Adres redakcji: Teatr Łaźnia Nowa, osiedle Szkolne 25, tel. 12 425 03 20 w. 41, 42; tel. kom. 500 641 948; redakcja@lodolamacz.pl; **Lista dystrybucji:** www.facebook.com/Lodolamacz.PismoLudziWalczacych. **Reklama:** Barbara Hoffmann, tel. 12 680 23 41;
Wydawca: Teatr Łaźnia Nowa. **Druk:** Polskapresse.
Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania i redagowania nadesłanych tekstów. Nie zwracamy materiałów niezamówionych. Nie uzasadniamy powodów niepublikowania tekstów. Redakcja i wydawca nie ponoszą odpowiedzialności za treść zamieszczanych ogłoszeń. Poglądy i opinie przedstawiane w publikowanych artykułach i opiniach czytelników niekoniecznie są zgodne z poglądami wydawcy i redakcji. Reprodukowanie bez zgody wydawcy jakichkolwiek materiałów zawartych w czasopiśmie Lodołamacz jest niedozwolone.

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

DYWIZJON MŁODYCH CYRKOWCÓW

PAMIĘTACIE ZAKLINACZY OGNIA:

EKIPĘ CYRKOWCÓW, KTÓRA POD BATUTĄ MAGDY FLOREK ZDOBYWAŁA UZNANIE AKROBATYCZNYMI SZTUCZKAMI? W ICH ŚLADY, TAKŻE POD WODZĄ MAGDY, IDZIE ZGRAJA MŁODYCH ADEPTÓW CYRKOWYCH POPISÓW. KILKUOSOBOWA, ODWAŻNA GRUPKA Z OSIEDLA DYWIZJONU 303 ĆWICZY NIEUSTANNIE, ROBIĄC REGULARNE POSTĘPY. EKIPA NAWIĄZAŁA TEŻ MIĘDZYNARODOWE KONTAKTY Z PODOBNĄ GRUPĄ DZIECIAKÓW Z FRANCJI. ICH POPISY NA PLACU CENTRALNYM ZAREJESTROWAŁA JOANNA URBANIEC.











